

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

28

Wyszli z komisaryatu, przecisnęli się z trudem wśród zebranego tłumu, komentującego jeszcze śmiało te zbrodnie i wsiedli do automobilu.

— Ta młoda dziewczyna, o której pan wspominał — zaczął Allan — czy nie była jasną blondynką, lat może siedemnastu?

— Nie, brunetka, bardzo silna. Luiza Rieux. Jestem pewny, że się nie mylę. Jedyna córka dzielnego oficera, ale, to proszę zachowaj pan dla siebie. Dziewczyna nie zupełnie już uczciwa, ale jak, domyślam się, padła ofiarą jakiegoś nędznika. W każdym razie u pani Wiktoryi mogła tylko upaść niżej. W chwili aresztowania grała na fortepianie, przebrana za dyabła!

— To nie ta, o której myślę. — rzekł Allan — Jednak...

— Poczekaj pan! Może pan szuka tej blondynki, jej przyjaciółki? — przerwał urzędnik — Wiem już! Obydwie uparcie ukrywały swoje nazwiska, ale z nami takie dzieciństwa nie trwają długo. Tak, tak... Janina le Brenn... Poczekaj pan, mieszkała w dzielnicy Temple. To ta, nieprawdaż?

— To ta! — powtórzył głucho Allan, przejęty drżeniem nerwowym.

— Do dyabła! Kiedy ona uciekła mi także z pod nosa! Jest także jakiś młody człowiek, blondyn, w całej tej sprawie.

— Znam go.

— Oh! Przez niego dowiemy się, co się z nią stało.

— To niepotrzebne. Wiem już.

— W takim razie wie pan więcej od nas! — zaśmiał się urzędnik.

— Niestety, nie w każdym punkcie.

— Poinformuję więc pana w zamian za jego wiadomości. To znaczy, że pan powie mi, gdzie ta mała mieszka.

— To zależy.

— Jakto?

— Zależy od tego, do czego to panu potrzebne. Co się pan od niej chce dowiedzieć?

— Miejsca pobytu tej jej przyjaciółki, Luizy Rieux, którą ciągle jeszcze ojciec poszukuje. Ona była jej towarzyszką w czasie, kiedy pracowały jako hafciarki.

— Zdaje się, że nie będzie mogła pomóc panu w poszukiwaniach, bo znajduje się sama w małej wiosce, oddalonej od Paryża najmniej o mil sto pięćdziesiąt.

— Ale może zechce się pan podjąć pośrednictwa?

— I owszem. Czy to pilne?

— Tak i nie. Ojciec od miesięcy oczekuje na próżno.

— Za dwa dni będzie pan wiedział!

— Czy być może! Gdyby pan mógł dać mi pewne wskazówki! Ot i widzi pan, panie Allan, staje się pan tajnym naszym detektywem. Już teraz nic przed panem ukryć nie mogę. Musi mi pan teraz powiedzieć, jakich objaśnień pan chce odemnie i na mocy czego?

— To jest bardzo logiczne. Janina le Brenn jest moją siostrzenicą. Pragnę jak najspieszniej poznać rolę, jaką odegrała u tej pani Wiktoryi.

— Rola, którą jej odegrać kazano, chce pan powiedzieć, bo mam ją za niewinną. Jest tylko ten blondyn w jej życiu, który, zdaje się, był szczęśliwszym od pewnego doktora, którego znam.

— Doktora Magnusa de Villepre?

— Tak.

— Stał się już nieszkodliwym. Nałożono na niego kaftan bezpieczeństwa.

— Doktor Magnus zwaryował?

— Zupełnie i jest zamknięty w domu zdrowia!

— Mówi mi pan rzeczy nadzwyczajne, doprawdy! Sławny doktor Magnus de Villepre! Co prawda, nie żałuję go. Bylibyśmy wkrótce zmuszeni zamknąć go gdzieindziej!

Urzędnik potrząsnął głową ze zdumieniem i zapytał po chwili.

— A więc ta druga młoda dziewczyna, ta Janina le Brenn, to pana siostrzenica? Zapewne daleka, bo to prosta robotnica.

— Nie, przeciwnie, bardzo bliska, ale dotąd nie wiedziałem o tem.

— To dobrze. Dowie się pan o niej to wszystko, co sam wiem. Przedewszystkiem, uieznana mi była

zupełnie aż do chwili osiedlenia się jej w dzielnicy Temple, niedaleko kanału.

— Była wtedy uczciwą dziewczyną, wiem o tem z pewnością.

— I zapewne pozostała taką, skoro machinacya tej starej nędznicy z ulicy św. Łazarza nie udała się. Tylko ten młody blondyn mnie niepokoi... Ale idźmy dalej. Wszystkie kobiety zaaresztowane równocześnie w pracowni pani Wiktoryi, orzekły, że nie знаły jej przedtem. Została podstępnie zaciągnięta do tego domu. Wejście policyi uratowało ją, a może także przywiązanie i opieka Luizy Rieux.

— Tego dobrego dyabełka?

— Tak sądzę. Ale dojeżdżamy już. Zaraz każę panu przynieść akta do przejrzenia.

Pułkownik Rieux.

Allan le Brenn siedział w gabinecie szefa poszukiwań i przeglądał z zajęciem podane mu wielkie księgi, zawierające akta. Tajemne jego przekonanie i przecucie stawały się już pewnością. W tej chwili wszedł woźny, oznajmiając przybycie pułkownika Rieux.

Allan podniósł głowę z nad papierów i spojrział na urzędnika.

— Tak, to ojciec tej Luizy, która bierze udział w tej sprawie — odpowiedział pan Leroux na nieme to zapytanie. — Biedny człowiek! Cóż mu powiem znowu? Widok jego sprawia mi przykrość, której pan sobie wyobrazić nie może. Przychodzi tu zawsze smutny i spokojniawy przez wstyd, jak winowajca, ukrywając swoje tytuły i krzyż legii honorowej.

Allan zamknął książki i pożegnał urzędnika.

— Powiedział mu pan, że może za dwa dni dowie się, czego pragnie.

— Może... — powtórzył pan Leroux. — Zawsze to słowo, odbierające nadzieję.

— Wolę powiedzieć w ten sposób, choć pewny jestem dobrego rezultatu — odparł Allan.

— Uczciwy z pana człowiek — rzekł urzędnik, odprowadzając gościa do drzwi.

W przedpokoju, służącym za poczekalnię, stał pułkownik Rieux z głową pochyloną, poważny i przybity. Allan, przyzwyczajony do swobodnego powitania amerykańskiego, głęboko pochylił się, przechodząc koło tego człowieka.

— Panie — rzekł pułkownik przyciszonym głosem, zwracając się do urzędnika — przychodzę tylko panu powiedzieć o zmianie mojego pobytu. Nic nowego, nieprawdaż?

— Jeszcze nie — odpowiedział pan Leroux — ale za dwa, trzy dni... mam nadzieję...

— Zaczekam. Następnie udam się tam, gdzie mnie przeniesiono, do południowej Oranii... ze względu na zdrowie.

— Ależ tam „grzeje“ na wszelkie możliwe sposoby, panie pułkowniku.

— To mój fach — odpowiedział z prostotą. — Zegnam pana. Dziękuję panu gorąco za zainteresowanie się moją sprawą.

— Ach! pułkowniku! Gdyby nie to głupie wydarzenie wówczas...

— Wywiązał się pan dzielnie ze swojego obowiązku. Raz jeszcze panu dziękuję... po raz ostatni może...

Uściskawszy rękę urzędnika, pułkownik Rieux oddalił się szybko, jak gdyby chciał jak najprędzej z tego miejsca uciec, do którego sprowadził go wstyd i niepokój.

Powróćmy do Allana le Brenn. Część jego starań uwięczona została już dobrym skutkiem. Pozostawało mu tylko jeszcze widzenie się z baronem de Bressien i Andrzejem Delrue. Allan więc nie stracił dnia na próżno. Zabierał się właśnie do zasłużonego odpoczynku, kiedy mu doniesiono, że człowiek jakiś, skromnej postawy, pragnie z nim mówić koniecznie.

— Jak się nazywa?

— Jakób, posługacz.

— To jeden z moich przyjaciół, wpuścić go natychmiast.

Za chwilę stary Jakób niezgrabnie, z pewnem zmieszaniem na widok komfortu mieszkania, wszedł do gabinetu Allana. W ręce trzymał stary swój kaszkiet, obłożony żalobną krepu.

— Cóż mi powiecie, Jakóbie?

— Panie — odpowiedział stary drżącym głosem — wiem, że taki człowiek, jak pan, nie lubi nudnych podziękowań.

— Rzeczywiście. Przejdźmy do przykrzejszych rzeczy, jednakże bardziej interesujących i pożyteczniejszych także...

— Jednakże, panie Allan, ja nie mogę przyjać...

— Jakże się miewa żona twoja, mój przyjacielu? — przerwał Allan natychmiast.

— Lepiej cokolwiek. Obecnie płacze nad naszą biedną Lizą. Teraz z nią straciliśmy już wszystko. Zgrubiałą ręką przesunął po zwilgoconych oczach i westchnął ciężko. Następnie z tym instynktem, zrodzonym z obowiązku, tak głębokim i silnym u natur prostych i uczciwych, mówić zaczął:

— Panie Allan, wiem, że pan przychodził do nas po wiadomości o pannie Janinie le Brenn, zamieszkałej niegdyś w mojej dzielnicy, chciałbym więc...

— Tak, przychodziłem z polecenia markizy de Kermor.

— Naszej opiekunki dobroczynnej. Pan mi wybaczy, że przychodzę z tem w niewłaściwej może godzinie. Przeszkadzam panu, prawda? Ale, że komisarz z dzielnicy dostarczył mi adres pana mieszkania... myślałem, że przychodząc będę mógł się panu stać potrzebnym i wywdziękzyć w ten sposób za dobroć pana dla nas, biedaków.

— Zapewne, mój Jakóbie. Powiedz mi więc wszystko, co wiesz o niej.

Posługacz wyjaśnił Allanowi, jak poznał Janinę, jej prośbę, aby nikomu nie wydał jej nowego adresu i poszukiwania, czynione za nią przez wysokiego, przystojnego człowieka, należącego najwidoczniej do najlepszej sfery towarzysztwa.

— To był syn markizy de Kermor — zauważył Allan.

— Tak jest, panie. Dowiedziałem się o tem późno. Ale za żadną cenę nie byłbym mu powiedział, gdzie mieszka ta panienska. Prosiła mnie i ona o to i drugi młody człowiek, który zdawał się nią być silnie zajęty i raz nawet wsunął mi do ręki dwa dzieńcia franków.

— Och! to ten wiedział o jej adresie?

— Wiedział przezemnie.

— Blondin, niski?

— Ten sam.

— Niema wątpliwości — myślał Allan wysłuchawszy dalszego opowiadania starego Jakóba. — Delrue jest współnikiem tego łajdaka de Bressien, którego mam nadzieję poznać wkrótce i panny Sydonii, która, o ile mi się zdaje, nie nazwie się prędko hrabiną de Kermor. Wszystko to, co było uplanowane przeciw Janinie w domu pani Wiktoryi, było dziełem sprytu i przebiegłości Andrzeja Delrue. Ale jak dostać dowód tej machinacyi do ręki? Przeciw takiemu człowiekowi nie wystarczą moje dwie silne pięści, muszę wynaleźć coś innego.

Monologując w ten sposób w milczeniu, Allan patrzył na starego Jakóba, który w pełnej uszanowania postawie stał przed nim z pochyloną głową na piersiach. Niktby się w tym skromnym i niepozornym człowieku nie domyślił zwycięzcy straszego, niezwalczonego apasza.

— Do dyabła! — szepnął nagle Allan, jak gdyby tknięty nową myślą — Mam przecież dzielnego i sprytnego posługacza pod ręką.

— Czy jesteś bardzo zmęczony, mój Jakóbie? — zapytał go życzliwie.

Posługacz wyprostował się szybko, niemile dotknięty temi słowami.

— To tak tylko pozornie się wydaje, mój panie. — rzekł żwawo — Ale proszę tylko poddać mnie jakiej próbie, a przekonam się pan, że stare moje nogi i głowa jeszcze się przydad mogą. Nie mam wcale ochoty do spoczynku.

— To dobrze, mój stary. Zaraz obarczę cię robotą.

— Po to tylko przyszedłem do pana.

Allan podszedł do biurka, usiadł w fotelu i pisać zaczął na ćwiartce papieru, wyciągniętego z szuflady.

„Łaskawy Panie Dyrektorze!

Niniejszem obowiązuję się dostarczyć panu żądanych informacji o pannie Luizie Rieux o dwa naście godzin wcześniej, niż to było przez nas dziś umówione. W zamian, proszę pana o wystawienie mi natychmiast pozwolenia na widzenie się z panią Wiktoryą, internowaną w więzieniu św. Łazarza i z panem Collin-Megret, znajdującym się w więzieniu głównem. Jest mi koniecznie potrzebne, w związku z wiadomą panu sprawą. Oddany i wdzięczny Allan le Brenn“.

— Oto, musicie natychmiast doręczyć list ten do rąk adresata, mój Jakóbie! — rzekł Allan, wstając i podchodząc do posługacza — Idźcie stąd prosto do dyrekcyi policyi, może go jeszcze zastaniecie. W przeciwnym razie pójdziecie do jego mieszkania. Pozostawiam wam już troszkę szybkiego odnalezienia go i przyniesienia mi odpowiedzi. Nie lękajcie się go zbudzić, jeżeli spać będzie. Sprawa jest ważna.

Była już druga godzina po północy, kiedy Jakób powrócił z żadaną odpowiedzią.